

tonem – Panowie poprosili rozchwytywać jej kwiaty. Szczególnie oficerowie... Bo co też to za śliczna osoba... Wszyscy zachwyceni są jej pięknnością, a już najbardziej, to, zdaje się jej, towarzysz, pan Łuniewski... Ma taką rozpromienioną minę.

– Jaka pani spostrzegawcza, panino Miciu... Takie ofiarne zajęcie się „kwiatkiem” nie przeszkodziło pani wcale w obserwowaniu mojej synowej i miny jej towarzysza...

– Ach! Bo ja sama jestem panią Konradową zachwyconą... Nie mogę się na nią napatrzeć... Cóż dziwnego, że ma powodzenie i zwraca ogólną uwagę... Co prawda, niektórzy dziwią się, że jako mężatka zgodziła się chodzić po ulicach... Moja mamusia...

– Moja synowa – przerwała jej pani Żarnicka – jest jeszcze tak młodzieńka, że niektóre panny tykowskie zapomniały już, kiedy były w jej wieku...

Tym razem panna Kożuchowska nie poczerwieniała, ale posiniąła i rzuciwszy szybkie spojrzenie na Potyrowskiego, pośpiesznie pożegnała Żarnickie.

– Niezrównana jest ta panna Kożuchowska w swoim kapeluszu, który, doprawdy nie wiem, co ma przypominać, piramidę egipską, czy głowę cukru. – rzekł z uśmiechem Koszczyk, spoglądając za odchodzącą.

Pani Żarnicka uśmiechnęła się blade.

– Złośliwy pan jest, ale istotnie uwaga słuszną... Odrobiny gustu niema w tem jej całym ubraniu... Już dzisiaj, to się specjalnie wystróża...

– Zdaje mi się, że to na intencję pana Potyrowskiego...

– Tak, i ja to uważam.

– Ależ ta Józia długo nie wraca. – odezwała się nagle Lola, która widocznie wcale nie o pannie Mici myślała, a może nawet nie słyszała, o czem matka i Koszczyk mówią.

Łuniewski tymczasem prowadził Józję z ulic więcej ludnych, bardziej ożywionych, w coraz cichsze przecznice i zresztą kierował ku tej stronie miasta, gdzie widział młodą Żarnicką po raz pierwszy.

Józia od chwili, kiedy przestała czuć na sobie przenikliwe, wrogie spojrzenie świekry – odzyskała zwykłą sobie żywość i wesołość. Czy jej poweselała, cera zaróżowiła się trochę, a usta rozchyliły się ślicznym, bezwiednie zalotnym uśmiechem.

Łuniewski oczu nie mógł oderwać od niej i zapominał nawet o tem, że ma potrząsać puszka i zachęcać przechodniów do wrzucania dałków.

To wpatrzenie się jego w młodą mężatkę musiało zwrócić uwagę tego i owego, zwłaszcza zaś nie uszło wzroku pań Kożuchowskich, Figurskich, Mizerskich i wielu innych.

Wkońcu sama Józia zwróciła się do Łuniewskiego zapytaniem:

– Proszę pana, czy mnie się kapelusz przekrzywił?...

– Nie, proszę pani.

– To może mi się włosy rozsypały?

– Ależ bynajmniej.

– No, to czego mi się pan tak przypatruje, jakbym była jakimś dziwadłem – rzuciła Józia już z jakąś irytacją. – Przecież nie mam rogów na głowie!...

Uśmiech przemknął po cienkich wargach mężczyzny.

– Oczywiście, że nie, ale pani jest taka śliczna!... – wyrwało mu się zupełnie niespodzianie dla samego siebie i w tej chwili złość go ogarnęła, bo zasadą jego było: nie mówić nigdy kobietom komplementów.

– Masz tobie! – zawołała Józia z zabawnie dziecinną miną, napół śmiejącą, napół zakłopotaną. – Ale, wie pan co, niech się pan już lepiej patrzy na kogo innego, bo ja nie lubię, jak mi się kto tak przypatruje...

– A na kogo się mam patrzeć?

– O! Choćby na tę panią, co idzie przed nami...

– Na tę w szafirowej sukni z amarantową szarfą i w kapeluszu z ponsową kokardą?... Nie mogę, proszę pani, boby mnie oczy zabolęły...

– No, to niech się pan patrzy na drzewa, na domy, na co pan zresztą chce, tylko nie na mnie...

– Postaram się być posłusznym, ale napełnić nie obiecuję...

– Najgorzej, jak pan ma ochotę być posłu-

sznym – odpowiedziała z łobuzerskim ognikiem w oczach Józia.

Roześmiali się oboje. Chwilowe niemiłe zakłopotanie ustąpiło miejsca swobodnemu, wesołemu nastrojowi.

A Łuniewski zadał sobie znowu w myśli pytanie: jaka ona jest właściwie – czy taka naiwna, czy chytra kokiełka, czy jakaś zupełnie różna od kobiet, które znał dotychczas?

Józia zatrzymała się nagle i obejrzała się wokoło.

– Proszę pana, ale to myśmy zadaleko zaszli!... Tutaj nie warto chodzić, bo się mało kogo spotyka...

– I tak pani już więcej zebrała, niż inne... Ledwie mogę puszkę udźwignąć... Niech pani pozwoli ludziom trochę odetchnąć i sama od pocznie... Poznaje pani tę ulicę?

– Pewnie, że poznaję... Wracalam tędy ze spaceru, wtedy...

Urwała i zarumienila się.

– Wtedy, jak mój kolega panią zaczepił – dokończył Łuniewski. – Bardzo pani była wówczas oburzona?...

– El Oburzona, to znowu nie!... Czy mnie się to pierwszy raz zdarzyło, żeby mnie kto zaczepił?... – powiedziała Józia z naiwną szczerością.

Łuniewski miał ogromną ochotę roześmiać się głośno, ale bał się, że ją obrazi.

– Więc panią już nieraz zaczepiano?...

– Ojej!... Ile razy... Jeszcze jak byłam podlotkiem...

– Więc to pani nie było nieprzyjemnie wtedy...

– No, wie pan... trochę mi się zrobiło nieprzyjemnie... Ludzie zaczęli zwracać uwagę, a on się robił taki natarczywy... Jaby mu tam była porządnie odpaliła, ale jestem już mężatką, więc nie wypadało... O! Dawniej...

– Dawniej wypadało, co?...

– I dawniej nie wypadało – przyznała z rezygnacją – ale ja zawsze miałam ochotę robić, co nie wypada... Powiadam panu, byłam rozpaczą ciotki, ojca, nauczycielek... Inaczej mnie nie nazywali, jak szalona, narwana Józka...

– A mieli rację?...

– Trochę mieli, a trochę nie. A wtedy, jakem panów spotkała, to mnie nawet porządny strach zebrał, bo pomyślałam sobie, co by to było, żeby mnie tak moja świekra zobaczyła...

Łuniewski spojrzał na nią uważnie.

– Coś mi się zdaje, że u pani sprawdza się przysłowie: Matka mężowa – głowa węzowa!... Józia nagle przypomniała sobie, że rozmawia z obcym człowiekiem.

– Ależ nie... Skądże znowu... Co się panu wydaje? My z mamą jak najlepiej się zgadzamy. Łuniewski zmarszczył brwi.

– Po co pani mówi nieprawdę?... – rzucił prawie ostro. – Z kłamstwem pani nie do twarzy.

Józia zmieszała się, ale tylko na chwilę. Odzyskała zaraz swoją zuchwałą trochę rezolucję.

– A dlaczegoż pan wymaga odemnie prawdy?... Nie będę się przecie panu zwierzała... Nie jest pan moim krewnym, ani przyjacielem...

– Ale możebym chciał być przyjacielem... – wyrzekł cicho Łuniewski.

Józia bez żenady spojrzała mu w oczy i potrząsnęła przecząco głową:

– Nie, pan nie będzie moim przyjacielem...

– Dlaczego?...

– Bo ja to czuję.

– A pani miała wielu przyjaciół?

– Niewiele, ale za to szczerych.

– A pani się zdaje, że ja jestem nieszczerzy?

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tem. Niema o czem mówić.

Łuniewski zdjął kapelusz, jakby mu nagle zaciężyla lekka „panama”.

– Ale, panie, gdzieżeśmy zaszli? – to już przecie pola... Wracajmy zaraz!...

– Tak się pani spieszy do tych spieczonych, brudnych, dusznych murów?... Jak tutaj ładnie, świeżo... Przejdźmy się kawalek, o! tą ścieżyną...

Józia zawałała się. Pociągały ją pola, zieleń młodego zboża, chętnie odetchnęłaby świeższym powietrzem – zorientowała się jednak, że taki spacer jest teraz niemożliwy.

– Nie. Nie wyszliśmy przecie na spacer, tylko na zbiórke. Wracamy – powiedziała stanowczo.

– Jak pani każe. Ano, to wracajmy do miejskiego kurzu, do tykowskich dam dobroczynnych i – do pani świekry...

Delikatne brewki Józji zsunęły się. Spochmurniała.

Zawrócili, choć młoda kobieta z mimowolnym żalem obejrzała się poza siebie. Łuniewski spostrzegł to, ale już drugi raz spaceru nie proponował.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Józia zamyśliła się i zapatrzyła gdzieś przed siebie, a Łuniewski, postępując obok niej, obserwował nieznacznie zmianę wyrazu tej ruchliwej twarzy.

– Czy pani ma jeszcze rodziców? – zapytał niespodzianie.

Podniosła na niego oczy.

– Mam nie mam... Mam tylko ojca i... od niedawna macochę...

Powiedziała to tak smutnie, że Łuniewskiego ogarnęło jakieś wzruszenie.

– Nie najczulszy to musi być ojczulek – pomyślał i z obojętną miną rzucił znowu pytanie:

– Dlaczego pani po wyjeździe męża została przy jego matce?...

– Konrad tak sobie życzył, a zresztą...

– A zresztą co?

– A nic.

– Nie dokończy pani?

– Nie! Nic to takiego, co by pana mogło zająć albo obchodzić. A że ja chciałam wypaplać coś niepotrzebnie, to już taki mój nieszczęsny zwyczaj...

Dużo wyższy od niej pochylił lekko głowę i wpałzył się znowu w jej migotliwe, turkusowe oczy. Szli tak blisko siebie, że cienkie popielate sukno jego marynarki dotykało batystowego rękawa, obciskającego okrągłe a smukłe ramie młodej mężatki.

Szła ku niemu od niej fala rozkosznego, odurzającego ciepła, a kiedy pochylił się, puszyste włosy Józji muskały go chwilami delikatnie po twarzy.

Szarzielone oczy Łuniewskiego zaczęły potyskiwać złotymi iskrami, jakby przeświecone słońcem.

– Pani, jak widzę, ma dużo wad i słabostek... – powiedział, zesuując wzrok na jej odsłoniętą, białą, prześliczną szyję.

– Och! Bardzo dużo!... – zawołała Józia z taką przekonywującą szczerością, że mu się znowu śmiać chciało, a jednocześnie czuł, że to nieokreślone, ciepłe wzruszenie, jakie go przejęło, potęguje się.

Zaprzagnął czegoś więcej dowiedzieć się o niej, a przedewszystkiem tego, jakie drogi zaprowadziły ją do Konrada Żarnickiego i do jego matki.

– Pani jest Krakowianką, prawda?...

– Tak jest. To jest, właściwie urodziłam się, wie pan, gdzie?...

– No?...

Zaśmiała się swobodnym, dziecinnym uśmiechem. Musiał podziwiać, jak szybko zmienia się wyraz jej twarzy i usposobienie. To smutna i zamyślona, to wesoła i niefrasobliwa... Raz harda, prawie szorstka i odpychająca, a za chwilę po koleżeńsku swobodna i dziecinnie figlarna.

– A na Zwierzyńcu się urodziłam!... Pan zna Zwierzyniec?

– Trochę.

– Ojciec mój oddawna już mieszka w śródmieściu, ale we mnie to stanowczo zostało coś zwierzynieckiego. Ciotka, jak rozniewała się na mnie, to mi zawsze mówiła, że się zachowuję, jak andruska ze Zwierzyńca!...

– A panią to obrażało?...

– No, jak czasem. Dawniej nawet bardzo, ale teraz widzę, że trochę w tem było racji. Ale wcale się tem nie martwię. Jestem sobie zwierzynieckie dziecko z nad Wisły i taką już pozostanę!

– Tak! Niech się pani nie zmienia!... Niech pani zawsze pozostanie taką, jaką pani jest! – zawołał tak gorąco, że spojrzała na niego uważnie i odsunęła się trochę.

– A pan niby skąd wie, jaka ja jestem?!

– Dużo mnie pan niby zna!...

– Chciałbym poznać!...

– Obejdzie się!...

– Zwierzyniec się kłania!...

Roześmiała się.

– Rzeczywiście, to było zwierzynieckie powiedzenie. Ale pan się na mnie nie obraził?...

– Ależ nie!...

– No to dobrze, chociaż, gdyby się pan nawet obraził...

– To pani i tak niewieleby sobie z tego robiła... – dokończył ze śmiechem, ale śmiech ten miał w sobie coś nieszczerego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)